Rozmaitości.

Pismo to wychodzi w każdą NIEDZIELĘ, w Drukarni St. Gieszkowskiego. Ner 25. Zaliczenie na 3 miesiące kosztuje Zlp: 5.

Kraków dnia 22 Czerwca 1834 roku.

FRANUŚ POD RASZYNEM.

POWIEŚĆ PRAWDZIWA.

(Dokończenie.)

—

Trudno wyrazić tey trwogi i roskoszy, jakich zbyt młodzi kochankowie na przemian doznawali, w samym dniu widowiska. Role ich były na scenie takiey samey natury, jakie odtąd w istocie pomiędzy sobą grali. Wanda ukrywała pezed swoim dworem i senatem, że kocha pazia; Eliza przed rodzicami, siostrami i ochmistrzynią, że ginie za Franusiem. I nic też doskonaley na naypierwszym teatrze, w żadney trajedyi nieoddano, jak były wszystkie sceny, grane pomiędzy Wandą i Zbisławem.

Dobry wujaszek, po skończoney wystawie, z uniesieniem pochwycił ukochaną Elizę i do serca przycisnął, mówiąc: »Dziewczyno, prawdziwą jesteś Melpomeną, a przynaymniey zrównałaś Leduchowskę! Ale oboje z Franusiem graliście jak anioły, w niczem nieustąpiliście sobie!,, —

Ze wszystkich widzów, ja ubawiłem się naylepiey, jako wiadomy taynych przyczyn tey gry tak doskonałey. — Autor wyszedł z tryumfem, okryty oklaskami: że gotów by był tey chwili, zająć się nowym przekładem Horacyuszów; lubo niewyszło roku, a swoją ubóstwioną Wandę, z zimną krwią cisnął w ogień.

Znikło ulotne dzieło, lecz owoc jego, miłość dwoyga kochanków Elizy i Franusia, wzrastała potajemnie.

W roku 1807 całe nasze towarzystwo dramatyczne płci męzkiey, rozproszyło się po różnych półkach woysk xięstwa warszawskiego. Franuś wszedł do strzelców konnych okryty barwą swey kochanki, tą samą własnie którą grając królowę, ozdobił pazia w trajedyi. — Autor i Rytygier poginęli przy oblężeniu Gdańska, my oba zeszliśmy się dopiero we dwa lata, i to znowu pod czas wrzawy wojenney. —

Franuś, jak był franusiem, kochanym niegdy w szkołach, tak równie i w swoim półku. Żołnierze, officerowie, sam nawet półkownik, inaczey o nim niemówili, tylko: »*Nasz Franuś!* Jak dusza jego cnotliwa, serce nayczulsze, niezmieniły się z wiekiem, — tak i miłość ku Elizie, z czteroletnim przeciągiem czasu, nieuległa odmianie. —

W dzień wyjazdu pod Raszyn, był jeszcze z pożegnaniem u swey ubóstwioney kochanki; bogaci rodzice i wujaszek, z razu temu związkowi dość przeciwni, życzyli mu teraz szczęśliwego powrotu, oczekując go z wieńcem uwitym z mirtu. Eliza łzami zalana, jakby przeczuwała nieszczęście, pożegnała Franusia, który wnet jak błyskawica, dopadłszy kasztanka, nakarmionego na drogę cukrem z śnieżney rączki swey przyszłey Pani, zniknął prawie z jey oczu. —

Smiały i mężny młodzieniec, mimo naytkliwsze prośby kochanki, aby ile możności unikał widoczney zguby, zdawał się na placu bitwy, myśléć tylko o sławie.

Walka trwała do nocy; z pułku Franusia bardzo wielu zginęło. — Huk dział rozlegając do koła, smutnemi przeczuciami i trwogą napełniał serce Elizy. —

Już bardzo późno wieczorem, kiedy posępną ciszę z niepewnością losu bitwy stowarzyszoną, jęki tylko ranionych, których coraz więcéj zwożono do stolicy, boleśnie przerywały; wchodzi zmieniony, wybladły wuy Elizy, wracając prosto od rogatek jerozolimskich, i niespostrzegłszy płaczącéy i modlącéy się w oknie swéy siostrzenicy, rzecze do jéy rodziców: »*Okropną wieść przynoszę! Franuś nieżyje!*»—

Krzyk, tysiąc razy okropnieyszy przeraża nagle ucho jego. — Eliza wymówiwszy tylko imie kochanka, pada bez zmysłów,— dobra jéy matka utraca równie przytomność, — czarna rozpacz naraz wszystkich dusze ogarnia..... że ledwie czuły oyciec, mógł zawołać ratunku. — Niebawem pokóy zostaje napełniony strwożonémi domownikami;— przywołani lekarze, z wielką trudnością zdołali się przekonać, że nieszczęsna istota, jeszcze żyje;— lecz długi przeciąg czasu upłynął, niżeli ją mogli z rąk zimnéy śmierci wydobydź. Zaniesiona Eliza do osobnego pokoju, za kilka dopiéro godzin, mogła poznać rospaczającą matkę i przytuliwszy się do jéy łona, strumienie łez wylewała;— wtedy dopiéro lekarze, byli w stanie dać mały promyk nadziei sercom stroskanych rodziców— i rozpaczającego wuja pocieszyć, który sobie siwe włosy z głowy wyrywał. —

Nieprędko on zebrać mógł siły, ażeby opowiedzieć oycu Elizy, że aż do ciemnéy nocy czekając w tłumie niespokoynych mieszkańców zebranych przy rogatkach, wiadomości o losie bitwy; usłyszał wyraźnie, dwóch żołnierzy wiezionych z pobojowiska, jak mimo własne rany, opłakując stratę kochanego Franusia, kilka razy powtórzyli te słowa: «*O biédny, biédny nasz Franuś! jak to dziecko było odważne, jak on zachęcał nas do bitwy! Na sztuki, na sztuki zarąbany! — Na krótką tylko chwilę poprzedził zgon pułkownika!....*» — Lecz niemógł się do nich przecisnąć.

Nazajutrz, gdy już cokolwiek minęło niebezpieczeństwo Elizy; oyciec jéy przedsięwziął jechać do kommendanta placu, a potém wreście do lazaretów, dla zupełnego przekonania się o tym nieszczęśliwym wypadku, bo już Franusia kochał i uważał jak syna.

Tymczasem biédna Eliza w objęciach swojéy matki, na jednę chwilę od lekarzy nieodstąpiona, żadney pociechy, naymnieyszych powątpiewań o smutney wieści ostatniego wieczora nieprzyjmując, w czystey jedynie religii, w miłości Boga, szukała ulgi dla serca miotanego rozpaczą. — »O już on pewnie nieżyje! Już go nieuyrzę więcey!... Gdyby żył jeszcze, wiedziałabym do tey pory o jego losie. — Elizo, rzecze rozrzewniona matka ze łkaniem, czyliż to żołnierz jest panem swoich godzin? — Nie pocieszay mnie matko, próżna nadzieja, powiększałaby tylko rany moje! On mi dał słowo.... — Uspokóy się — wuy może się przesłyszał; ja mam jeszcze jakieś przeczucie. — Żadnego! żadnego! Przeczucie zbliżającey się śmierci, to jest moje przeczucie....,,— Zemglała; a lekarze musieli prawie użyć mocy, aby od niey oddalić matkę, przyczyniającą jey boleści swoim opłakanym widokiem. — »Która godzina!» — krzyknie przeraźliwie Eliza, przywrócona znowu do zmysłów? — »Dziesiąta już dochodzi...,,- — odpowié ochmistrzyni, trzymając ją za rękę. — »Ach! wczoray żył jeszcze o tey dobie! niemasz go! niemasz biednego!... niemasz?... Gdzie móy oyciec! wszyscyż mnie odstąpili!..— Kochana siostro, zawoła Izabela, wszyscy jesteśmy przy tobie!.. może w krótce i Franuś... Papa go szukać pojechał.. — Szukać pojechał?... szukać go! o móy oyciec naydroższy!.. on go szuka!.. ach!.. gdzież go znaydzie?... Utarzanego w piasku z własną krwią pomieszanym!..,—

Wuy Elizy, dowiedziawszy się o rozeymie zawartym pomiędzy obu woyskami, pojechał prosto do obozu, lubo wszelkiey nadziei próżen.— O jakby on był szczęśliwy, gdyby mógł się przekonać że to była omyłka! Życie własne,

wszystko co tylko posiada, gotówby oddać za nię. —

Już druga z południa uderzyła, a jeszcze żaden z nich niepowracał... Eliza ustawicznie wzywała oyca, nikt jey nieśmiał dać odpowiedzi. —

Nakoniec około czwartey, zachodzi powóz na dziedzieniec.. Eliza pierwszy raz od półgodziny zbolałe przymróżywszy powieki, pierwsza dosłyszała turkotu.. chciała się zerwać z łóżka i biédz do okien, — zaledwie ją wstrzymać zdołano.. —

Jest jeszcze promyk nadziei. — Oyciec Elizy dowiedział się z pewnością, że półkownik strzelców konnych niezginął, a nawet niebył raniony; zatem już jedna sprzeczność, jakokolwiek pocieszająca; — lecz więcey nic niezdołał wyśledzić. Znalazł wprawdzie trzech officerów z tegóż samego półku w lazarecie, znalazł kilkunastu żołnierzy, ale wszyscy z innych szwadronów; którzy w prawdzie znali Franusia, lecz o *jego losie*, naymnieyszey niemieli wiadomości. — Co jednak nayokropniey przeraziło tkliwego starca, była powieść jednego z pomiędzy trzech officerów, że czterey żołnierze z drugiey kompanii, pierwszego szwadronu do którego należał Franuś, z ciężkich ran poumierali nadedniem, i że ta właśnie kompanija w naywiększym znaydowała się ogniu. — »Ci to zapewne nieszczęśliwi, pomyślał on sobie, opłakiwali Franusia, — i powracał do domu, zabawiwszy aż do tey pory, na daremnych poszukiwaniach. — Na senatorskiey ulicy, napotyka jednego podofficera z tegóz półku w naywiększym pędzie; — woła, — nie jest słyszany; — rozkazuje woźnicy, gdyby konie miały popadać, aby gnał za nim. — Dopędza go przed pałacem ministra Policyi; — wyskakuje z pojazdu, — już na schodach zatrzymuje posłańca nadziei, lub rospaczy... ze łzami pyta o Franusia. — »Nic niewiem co się z nim stało, od»powie podofficer; widziałem tylko że kula zra»niła mu prawą rękę; — lecz wzięty sam za »ordynansa do sztabu dywizyjnego, niemogę o »dalszych wypadkach w naszym pułku nic pe»wnego powiedzieć; słyszałem tylko że z pier»wszego szwadronu, mało kto został przy ży»ciu» — Promyk nadziei zabłysnął — i zniknął jeszcze prędzey. —

»Oycze! prawdę mi powiedz; nieprzybieray daremnie tey spokoyney postaci; rzekła do wchodzącego, na głośne swoje krzyki Eliza; ona mnie nieułudzi; ja wiem że dla mnie już nic niemasz na ziemi... tam! tam! na łonie Przedwiecznego! tam czeka mnie moje uszczęśliwienie!»

Z zupełném poświęceniem się woli Boga, wysłuchała rzetelney powieści oyca, wołając za każdém słowem na płaczącą swą matkę, ażeby łez nieroniła. »Nieżyje, pewno nieżyje, tak mi zatrwożone serce powiada; — ale niebóycie się o mnie, ja nieumrę; któżby go tak słodko wspominał? Będę żyć, abym na jego mogile pielęgnowała cyprysy, pod których kiedyś cieniem, upragniony znaydę spoczynek» — Słowa te, wyrzekła tak pieszczotliwie, tak spokoynie i tak niewinnie, że lica przytomnych lekarzy łzami zroszone zostały. —

Zginął Franuś! powtórzyli już wszyscy i zginął niestety! rzeczywiście; walcząc przeciw jednemu z naysławnieyszych pułków nieprzyjacielskiey piechoty *Dawidowicha.* —

»*Co?.. słaba?.. niebezpieczna!... Cóż jey się stało? wolnoż mi ją widzieć?....*„ — głos ledwie dosłyszany na schodach, przerywa nagle, jakby grobowe milczenie, w pokoju Elizy panujące. — Matka i oyciec... wybiegają, niepojętém uczuciem przeniknieni.. — Eliza zdawała się usypiać... niepostrzegła powszechnego wzruszenia,.. lekarze pełni radości, którey sami niebyli w stanie odgadnąć, spoyrzeli tylko po sobie... siostry Elizy na palcach ku drzwiom pospieszyły... cichość, słodka cichość, rozlała wonie nadziei... Eliza spi.. ochmistrzyni się modli... i zdaje się z duchami opiekuńczemi niewinności zasypiającey, rozmawiać.. Godzina piąta wybija... cóż ona ma zwiastować, niczem już niepocieszonym.. rozpaczającym, nad przeznaczeniem dwóch ofiar pożaru okrutney woyny...!

O! ktokolwiek opłakiwałeś domniemaną śmierć oyca, brata, przyjaciela, kochanki, i potém

uyrżałeś tak drogą tobie istotę wchodzącą w twe podwoje... odbierz mi pióro... i dokończ sam tey sceny, mistrzowskiego pęzla wymagającey... Niepotrafię cię zaspokoić... niezdołam ci odmalować tak czarownego obrazu, jakim ty chcesz nasycić twoję czułość. Franus to Franuś przybywa... i okryty chlubnemi blizny... przywraca życie w dom naymilszy swojemu sercu; który miał w krótce, za mienić się w pustynią.— Dokończ, mówię, zamnie tego obrazu.— Franuś żyje... niebo Elizy, nayczystsza miłość wypogadza... zapomina doznanych cierpień... wspomnienia ich pomnażają roskosz ożywionych na raz wszystkich uczuciów..!— Jeszcze raz ci powtarzam, weź pióro, i odmaluy przynaymniéy ten uśmiech, wywiedzioney z czarnego błędu kochanki, który z jey niebieskich oczu, w objęciach lubego spada!...—

Niebawem wbiega znużony, radosną wieść niosący wuy z obozu, iż Franuś żyje! Ale jak z okropną, przybył wczoray zawczesnie, tak dziś z pocieszającą zapóźno; bo go już zastał u nóg Elizy, okrytego ciężkiemi rany, lecz wolnemi od wszelkiego niebezpieczeństwa.—

Objęty konwencyą z wodzem woysk austryjackich zawartą, pozostał Franuś do zupełnego wyzdrowienia w Warszawie; — Eliza to, czuwała teraz nad kochankiem i nayszczęśliwsza, że po wypłaconym długu oyczyznie, mogła się nim ustawicznie zaymować, jemu poświęcać wszystkie chwile, których nadziemska słodycz, nadzieją przyszłego uszczęśliwienia, czystą jey duszę napawała. Niebo połączyło w krótce te dwie godne siebie istoty. Franuś w roku 1810 wyszedł ze służby, ozdobiony krzyżami woyskowemi.

Lecz jakiegoż to Franusia opłakiwali ci ranieni żołnierze?— Jakiż to Franuś zginął w rozprawie z półkiem *Dawidowicha*?

Był to Franuś Wilczek, sierżant starszy półku 8go piechoty, równie jak tamten kochany, równie po imieniu nazywany w swey kompanii, równie młody, nieustraszony. Omyłka ta w tydzień dopiero, mojém staraniem się odkryła. Znałem i tego od dzieciństwa, razem odbywaliśmy szkoły; — jeszcze teraz jego wspomnienie, drogie jest sercu memu. Prawie pierwsza kula nieprzyjacielska, ugodziła cnotliwego młodzieńca przed groblą pod Falentami.

MODY.

Gdybyśmy wiedzieli że powtarzanie jednego, nie znudzi większéy części szanownych naszych czytelniczek, tobyśmy zawsze na wstępie do tego artykułu, radzi powtarzać, o téy nigdy nieustającéy modzie w Paryżu: «Naywiększa czystość i świéżość nóżki, jest piérwszą zaletą nietylko elegantki, ale wszystkich w ogólności kobiétek i panienek. Broń Boże! pokazać się na spacerach lub na ulicy, w trzewiczku nieco wykrzywionym, z obstrzępioną wstążeczką,— a mianowicie z pończoszką nieco zasmoloną,— w rękawiczce poprutéy— i sukni niewyszłéy świéżo z pod żelazka.»— W prawdzie na naszych plantacyach podobnéy zgrozy nikt nieuyrzał— szczerze mówiémy: że nie!— ale przypomnieć kiedy niekiedy, to co jest dobre— niezawadzi.

W ciągu ośmiu dni upłynionych, niezaszła żadna wielka odmiana w modach.— Trochę tylko narzékań. I tak naprzykład modniarki żalą się na wymyślność dzisieyszych białych szat, które wymagają wielkiéy pracy, dla nadzwyczay sutych haftów, tak dalece: że chcąc u nich taki stróy nabydź, trzeba go dwoma przynaymniéy miesiącami naprzód zamówić. — Zdaje się, iż byłoby naylepiéy, ażeby większa część, nawet majętnych panienek, zamiast czytania kursu filozofii romantycznéy i czczość sprawujących romansów,— zamiast częstego nudzenia się zwierciadłem, które zawsze i zawsze tylko pochlebia.... i w szkodliwe zarozumienia wprawia,.... raczyły polubić krosienka.— Niech będą machoniowe, ozdobione bronzem,— słowem niech będą cackiem: byle tylko przy nich nawyknąć można do pracy, tak użytecznéy, bo pomnażającéy wdzięki ciała i duszy.

Osobliwszym zagrożone są dziś w Paryżu upadkiem, tak zawsze piękne kapelusze ryżowe;— ogłoszono bowiem przez nieostrożność, że naywięcey używane są przez młodziutkie osoby. Ale niestety! zaraz nazajutrz uyrzano w nich na spacerach mnóstwo twarzyczek już bardzo przemłodniałych,— cokolwiek nawet pomarszczonych,— bo któraż nieradaby uchodzić za młodziutką?— Radcy toaletkowi utrzymują, że na zapobieżenie temu *uzurpatorstwu*, niema innego środka, jak tylko zwinąć chorągiewkę i ogłosić na odwrót: że w kapeluszach ryżowych naywięcey teraz widać Dam podeszłych!— To pewnie zrobi swóy skutek,— a młode nic na tem niestracą, i owszem taniey nabędą kapelusika ryżowego.